



# TESS GERRITSEN

NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE  
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

## DAWCA

Walka o serce... to żywe, bijące.

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
HARVEST

Copyright © Tess Gerritsen 1996, 2006  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2008

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Konsultacja medyczna: dr nauk med. Marcin Szulc

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka

Zdjęcie na okładce: Wendy Stevenson/ Arcangel

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## Rozdział pierwszy

Był drobny jak na swój wiek, drobniejszy niż inni chłopcy, którzy zebrali w podziemnym przejściu na ulicy Arbatskaja, ale mając jedenaście lat, potrafił już wszystko. Od czterech lat palił papierosy, od ponad trzech kradł, a od dwóch sprzedawał się klientom. Tego ostatniego zajęcia nie lubił, ale kazał mu to robić wujek Misza. Skąd by inaczej brali pieniądze na chleb i papierosy? Jakow, jako najmniejszy i najbardziej jasnowłosy spośród wszystkich chłopców wujka Miszy, miał największe powodzenie. Klienci zawsze preferowali młodziutkich blondynów. Najwyraźniej wcale im nie przeszkadzało, że Jakow nie ma lewej dłoni. Najczęściej w ogóle nie zauważali uschniętego kikuta jego ręki; byli zbyt oczarowani drobnym blondynkiem o błękitnych oczach.

Jakow bardzo chciał być duży i marzył o tym, by zostać kieszonkowcem, jak starsi chłopcy. Co rano, gdy budził się w mieszkaniu wujka Miszy, i każdego wieczoru, zanim zasnął, chwycił zdrową ręką za poręcz łóżka nad głową i rozciągał się, mając nadzieję, że przybędzie mu chociaż centymetr. Wujek Misza twierdził, że to bezcelowe. Według niego Jakow był niski, bo pochodził ze zdegenerowanej rodziny. Kobieta, która siedem lat wcześniej porzuciła go w Moskwie, też była karłowata. Jakow prawie jej nie pamiętał. Nie przypominał też sobie niemal wcale,

jak wyglądało jego życie, zanim znalazł się w mieście. Wiedział tylko tyle, ile usłyszał od wujka Miszy, i tylko w połowie w to wierzył. Mając zaledwie jedenaście lat, był drobny jak na swój wiek, ale bystry.

Z nieufnością przyglądał się więc teraz mężczyźnie i kobiecie, którzy załatwiali z wujkiem Miszą interesy przy stole w jadalni.

Przyjechali dużym czarnym samochodem z przyciemnionymi szybami. Mężczyzna, który nazywał się Gregor, miał na sobie garnitur i krawat oraz buty z prawdziwej skóry. Kobieta o jasnych włosach, Nadia, była ubrana w kostium z delikatnej wełny. Trzymała w rękach małą walizeczkę. Nie była Rosjanką – wszyscy czterej obecni w mieszkaniu chłopcy natychmiast to spostrzegli. Mogła być Amerykanką albo Angielką. Mówiła po rosyjsku płynnie, ale z wyraźnym obcym akcentem.

Gdy mężczyźni omawiali interesy przy wódce, kobieta rozejrzała się po małym mieszkaniu, popatrzyła na stojące pod ścianą stare wojskowe łóżka, sterty brudnej pościeli i czterech przytulonych do siebie załęcznionych chłopców. Miała piękne jasnoszare oczy, którymi przypatrywała się po kolei każdemu z nich – najpierw najstarszemu z całej czwórki, piętnastoletniemu Pietii, a potem trzynastoletniemu Stiepanowi i dziesięcioletniemu Aleksiejowi.

Na koniec spojrzała na Jakowa.

Chłopiec przywykł do tego, że dorośli go oglądają, więc spokojnie patrzył jej w oczy. Nie był jednak przyzwyczajony do tego, że nie poświęcano mu większej uwagi. Zwykle dorośli nie interesowali się pozostałymi chłopcami. Tym razem jednak uwagę kobiety przyciągnął nie on, ale chudy i przyszczaty Pietia.

– Słusznie pan robi, Michaiile Isajewiczu – powiedziała do Miszy. – Te dzieciaki nie mają tu przyszłości. A my możemy dać im wielką szansę – dodała i uśmiechnęła się do chłopców.

Stiepan wyszczerzył zęby jak zakochany idiota.

– Jest jednak pewien problem... żaden z nich nie mówi po

angielsku – zmartwił się wujek Misza. – Znają tylko pojedyncze słowa.

– Dzieci szybko się uczą.

– Ale powinny mieć na to czas. Żeby nauczyć się języka, przywyknąć do innego jedzenia...

– Nasza agencja wie, że muszą się zaadaptować. Pracujemy z wieloma dziećmi z Rosji, z sierotami takimi jak ci chłopcy. Przez kilka miesięcy będą przebywać w specjalnej szkole, żeby mieli czas się przystosować.

– A jeśli im się to nie uda?

Nadia milczała przez chwilę.

– Cóż, czasem zdarzają się wyjątki. Najczęściej dotyczy to dzieci z problemami emocjonalnymi. – Popatrzyła na chłopców. – Czy myśli pan o którymś z nich?

Jakow wiedział, że to właśnie on ma problemy, o których mówili. Rzadko się śmiał, nigdy nie płakał i wujek Misza nazywał go „chłopczykiem z kamienia”. Jakow nie wiedział, dlaczego nigdy nie płacze. Inni chłopcy, gdy spotkało ich coś złego, zalewali się łzami. A on po prostu się wyłączał. Jego umysł przypominał ekran telewizora, który późną nocą, gdy kończy się program, po prostu robi się biały. Nie ma na nim nic, żadnego obrazu, tylko drgające białe kropki.

– To wspaniali chłopcy – powiedział wujek Misza. – Wszyscy czterej.

Jakow spojrzał na pozostałą trójkę. Piotr miał wystającą szczękę i pochylone do przodu ramiona, co upodabniało go do goryla. Uszy Stiepana były dziwnie małe i pomarszczone, a między nimi tkwił mózg wielkości orzecha. Aleksiej ciągle ssał kciuk.

A ja, pomyślał Jakow, patrząc na swój kikut, mam tylko jedną rękę. Dlaczego mówią, że jesteśmy wspaniali? Ale wujek Misza właśnie tak twierdził, a kobieta kiwała głową. Byli dobrymi, zdrowymi chłopcami.

– Mają nawet zdrowe zęby! – oświadczył Misza. – I spójrzcie, jaki mój Piotr jest wysoki.

– Tamten wygląda na niedożywionego – mruknął Gregor, wskazując Jakowa. – W jaki sposób stracił rękę?

– Taki się urodził, ale poza tym jest całkiem normalny. Brak mu tylko dłoni.

– To nie powinno stanowić problemu – stwierdziła Nadia i wstała z krzesła. – Musimy jechać. Już pora.

– Tak szybko?

– Mamy swój harmonogram.

– Ale... ich ubrania...

– Agencja zapewni im odzież. Lepszą, niż mają teraz.

– Tak szybko? – powtórzył wujek Misza. – Nie będziemy mieli nawet czasu na to, by się pożegnać?

W oczach kobiety pojawił się cień rozdrażnienia.

– Macie tylko chwilę. Nie możemy się spóźnić.

Wujek Misza spojrzał na chłopców, swoich czterech chłopców, związanych z nim nie pokrewieństwem ani nawet uczuciami, lecz wzajemną zależnością. Tym, że siebie potrzebowali. Obejmował każdego z nich po kolei. Jakowa ścisnął nieco dłużej i nieco mocniej. Pachniał znajomo cebulą i papierosami. Były to swojskie zapachy, ale Jakow zawsze unikał bliskiego kontaktu. Nie lubił, by ktokolwiek go obejmował lub dotykał.

– Nie zapomnij o swoim wujku – szepnął Misza. – Kiedy wzbogacisz się w tej Ameryce, pamiętaj, że o ciebie dbałem.

– Nie chcę jechać do Ameryki – burknął Jakow.

– To dla twojego dobra. Dla dobra was wszystkich.

– Chcę zostać z tobą, wujku. Chcę być tutaj.

– Musisz jechać.

– Dlaczego?

– Bo tak postanowiłem. – Wujek Misza chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął. – Tak postanowiłem.

Jakow spojrzał na pozostałych chłopców, którzy uśmiechali

się radośnie, i pomyślał: oni są szczęśliwi. Dlaczego tylko ja mam wątpliwości?

Kobieta wzięła go za rękę.

– Zaprowadzę ich do samochodu, a Gregor dokończy formalności.

– Wujku! – zawołał Jakow.

Ale Misza odwrócił się już i spoglądał w okno.

Nadia wyprowadziła czterech chłopców na korytarz i zeszała z nimi po schodach. Stukanie butów i odgłosy rozsadzającej ich energii rozbrzmiewały głośnym echem w pustej klatce schodowej.

Byli już na parterze, gdy Aleksiej nagle się zatrzymał.

– Zaczekajcie! Zapomniałem wziąć Szu-Szu! – krzyknął i ruszył z powrotem na górę.

– Wracaj! – zawołała Nadia. – Nie wolno ci tam wchodzić!

– Nie mogę go zostawić! – wrzasnął Aleksiej.

– Natychmiast wracaj!

Aleksiej dalej pędził po schodach. Pietia wzruszył ramionami i powiedział:

– On nie pojedzie bez Szu-Szu.

– Kto to jest Szu-Szu, do diabła?

– Pluszowy pies. Ma go od zawsze.

Kobieta spojrzała na schody prowadzące na trzecie piętro i w tym momencie Jakow dostrzegł w jej oczach coś dziwnego.

Niepokój.

Wyglądała, jakby za chwilę miała stracić Aleksieja. Kiedy chłopiec zbiegł z powrotem po schodach, trzymając w objęciach swojego wystrzępionego Szu-Szu, z wyraźną ulgą oparła się plecami o poręcz.

– Mam go! – zawołał z triumfem Aleksiej, tuląc do siebie pluszowego zwierzaka.

– Pospieszcie się! – powiedziała kobieta, wyprowadzając ich na zewnątrz.

Czterej chłopcy wepchnęli się na tylne siedzenie samochodu. Nie mieścili się na nim i Jakow musiał usiąść Pietii na kolanach.

– Nie możesz zabrać ze mnie swojego kościstego tyłka? – burknął Pietia.

– Wolisz go mieć na twarzy? – odparował Jakow.

Pietia szturchnął go łokciem, a Jakow natychmiast mu się zrewanżował.

– Przestańcie! – odezwała się z przedniego siedzenia kobieta.

– Ale tu jest za ciasno – poskarżył się Pietia.

– Musicie sobie jakoś poradzić. I zachowujcie się ciszej – powiedziała kobieta i spojrzała w okna mieszkania Miszy.

– Na co czekamy? – spytał Aleksiej.

– Na Gregora, który podpisuje papiery.

– Ile to potrwa?

Kobieta oparła się plecami o fotel.

– Niedługo – odparła.

□ □ □

Niewiele brakowało, pomyślał Gregor, gdy Aleksiej wyszedł po raz drugi z mieszkania, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Gdyby ten gówniarz zjawił się chwilę później, byłaby wpadka. Co ta kretynka wyprawia? Dlaczego pozwoliła smarkaczowi wrócić na górę? Od początku był przeciwny temu, żeby z nią pracować. Ale Reuben uważał, że potrzebna im kobieta, bo kobietom ludzie bardziej ufają.

Odgłos kroków chłopca ucichł na klatce schodowej, a potem rozległ się łoskot zamykanych frontowych drzwi.

Gregor odwrócił się do sutenera.

Misza stał przy oknie, patrząc w dół na ulicę, na samochód, w którym siedzieli jego czterej chłopcy. Przytknął dłoń do szyby w geście pożegnania. Kiedy spojrzał na Gregora, miał oczy zamglone łzami.

Ale jego pierwsze słowa dotyczyły pieniędzy.



– Są w walizeczce?  
– Tak – odparł Gregor.  
– Cała suma?  
– Dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów. Pięć tysięcy za każdego dzieciaka. Na taką cenę się zgodziłeś.  
– Tak. – Misza westchnął i przeciągnął dłońią poprzód wcześniej postarzałej pobrużdżonej twarzy. Był to niewątpliwie efekt zbyt dużej ilości wódki i zbyt wielu papierosów. – Na pewno trafią do odpowiednich rodzin?

– Nadia się tym zajmie. Kocha dzieci. Dlatego wybrała tę pracę.

Misza zdobył się na słaby uśmiech.

– Może znalazłaby też jakąś amerykańską rodzinę dla mnie...

Gregor wskazał walizeczkę, która leżała na stoliku.

– Sprawdź, jeśli chcesz.

Misza podszedł do walizeczki i otworzył zatrzask. Wewnątrz były starannie ułożone pliki amerykańskich banknotów. Dwadzieścia tysięcy dolarów. Będzie mógł kupić za nie wystarczającą ilość wódki, by zrujnować sobie wątrobę.

Jak niewiele kosztuje dziś ludzka dusza, pomyślał Gregor. Na ulicach nowej Rosji można było kupić wszystko. Skrzynkę izraelskich pomarańczy, amerykański telewizor, rozkosze kobiecego ciała. Wszędzie istniały możliwości dla tych, którzy potrafili z nich korzystać.

Misza wpatrywał się w pieniądze, ale zamiast zadowolenia czuł odrazę do siebie. Zamknął walizeczkę i stał ze spuszczoną głową, z dłońmi na twardym czarnym plastiku.

Gregor podszedł do niego od tyłu, uniósł lufę pistoletu z tłumikiem i strzelił dwa razy w jego łysiejącą potylicę.

Krew i mózg obryzgały ścianę. Misza zwałił się na podłogę, przewracając stolik. Walizeczka upadła na dywan obok niego.

Gregor chwycił ją szybko, by nie zalała jej krew. Była zabrudzona z boku mózgiem Rosjanina. Poszedł do łazienki,

wytarł ją papierem toaletowym i spuścił wodę. Gdy wrócił do pokoju, w którym leżał Misza, kałuża krwi rozlała się już po podłodze i wsiąkała w dywan.

Gregor rozejrzał się wokół, by się upewnić, czy zrobił wszystko, jak należy, i nie pozostawił żadnych śladów. Kusiło go, żeby wziąć także stojącą na oknie butelkę wódki, ale się powstrzymał. Musiałby tłumaczyć, dlaczego ją zabrał Miszy, a nie miał cierpliwości odpowiadać na pytania dzieciaków. To było zadanie Nadii.

Opuścił mieszkanie i zszedł na dół.

Nadia i jej podopieczni czekali w samochodzie. Rzuciła mu pytające spojrzenie, gdy siadał za kierownicą.

– Wszystkie papiery podpisane?

– Tak. Wszystkie.

Usiadła wygodnie i odetchnęła z wyraźną ulgą. Za bardzo się denerwuje, pomyślał Gregor, uruchamiając silnik. Bez względu na to, co sądził Reuben, kobieta była balastem.

Z tylnego siedzenia dochodziły odgłosy przepychanki. Gregor zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że chłopcy ciągle się szturchają. Wszyscy, z wyjątkiem najmniejszego, Jakowa, który w milczeniu patrzył przed siebie. Ich spojrzenia zetknęły się w lusterku i Gregor odniósł wrażenie, że z tej dziecinnej twarzy spoglądają na niego oczy dorosłego człowieka.

Nagle Jakow odwrócił się i uderzył w ramię sąsiada. Tylne siedzenie w jednej chwili zamieniło się w kłębowisko splątanych ciał i kończyn.

– Zachowujcie się, jak należy! – krzyknęła Nadia. – Nie możecie siedzieć cicho? Przed nami długa droga do Rygi.

Jej podopieczni uspokoili się i na tylnym siedzeniu zapanowała cisza. Ale po chwili Gregor zobaczył w lusterku wstecznym, że mały chłopiec z oczami jak u dorosłego znów szturcha łokciem sąsiada.

Uśmiechnął się do siebie. Nie ma powodu się martwić,

pomyślał. To w końcu tylko dzieci.

## Rozdział drugi

Była północ i oczy Karen Terrio same się zamykały. Walczyła z sennością, by nie stracić kontroli nad kierownicą. Prowadziła samochód prawie od dwóch dni. Wyruszyła w drogę zaraz po pogrzebie ciotki Dorothy i zatrzymywała się tylko na krótką drzemkę lub hamburgera i kawę. Wypiła mnóstwo kawy. Z pogrzebu pozostały jej w pamięci jedynie zamglone obrazy. Wędzące gladiole. Nieznani kuzyni. Czerstwe tartinki. I to, co jeszcze musi zrobić. Było tego cholernie dużo.

Teraz jednak chciała tylko dotrzeć do domu.

Wiedziała, że powinna znów się zatrzymać i spróbować trochę się zdrzemnąć, zanim pojedzie dalej, ale była już tak blisko – zaledwie siedemdziesiąt parę kilometrów od Bostonu. W ostatnim Dunkin Donuts wlała w siebie trzy filiżanki kawy, co dało jej dość energii, by dojechać ze Springfield do Sturbridge. Teraz jednak kofeina przestawała działać i choć Karen myślała, że jest przytomna, to co jakiś czas głowa jej opadała, a oczy same się zamykały.

Z mroku wyłonił się znak Burger Kinga. Zjechała z autostrady.

Zamówiwszy kawę i muffina z jagodami, usiadła przy stole. O tej porze na sali było tylko kilku klientów. Wszyscy mieli równie zmęczone twarze. Widma autostrady, pomyślała Karen. Udręczone dusze, które straszły w każdym przydrożnym barze.

Wokół panowała dziwna cisza. Wszyscy koncentrowali się tylko na tym, by nie zasnąć i móc ruszyć w dalszą drogę.

Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta z dwójką małych dzieci, które spokojnie jadły ciasteczka. Na widok tych grzecznych jasnowłosych malców Karen pomyślała o swoich córeczkach. Jutro mają urodziny. Już tylko ta noc dzieli je od ukończenia trzynastu lat.

Kiedy się obudzicie, pomyślała, będę już w domu.

Ponownie napełniła kubek kawą, zamknęła go plastikową pokrywką i poszła do samochodu.

Senność ją opuściła. Da radę. Godzina jazdy, siedemdziesiąt kilometrów i znajdzie się przed swoim domem. Włączyła silnik i wyjechała z parkingu.

Siedemdziesiąt kilometrów, pomyślała. Tylko siedemdziesiąt kilometrów.

□ □ □

Trzydzieści kilometrów dalej Vince Lawry i Chuck Servis, siedząc w samochodzie zaparkowanym za sklepem 7-Eleven, kończyli ostatni sześciopak piwa. Pili już od czterech godzin. Chodziło o to, który z nich potrafi wlać w siebie więcej i nie przygać się. Chuck był o jedną puszkę lepszy. Stracili już rachubę, ile w sumie wypili. Dowiedzą się tego rano, gdy policzą puste puszki na tylnym siedzeniu.

Ale kiedy Chuck zaczął wygrywać i chęłpic się tym, wkurzyło to Vince'a, bo uważał, że kumpel nie gra uczciwie. Gotów był na jeszcze jedną rundkę, ale skończyło im się piwo, i Chuck uśmiechał się cynicznie, chociaż wiedział, że gra nie fair.

Vince pchnął drzwi samochodu i wygramolił się zza kierownicy.

- Dokąd idziesz? – spytał Chuck.
- Przyniosę jeszcze piwa.
- Więcej już nie dasz rady wypić.

– Pieprz się! – warknął Vince i chwiejnym krokiem ruszył przez parking w stronę drzwi restauracji.

Chuck zaśmiał się.

– Nie możesz nawet iść! – krzyknął przez okno samochodu.

Dupek, pomyślał Vince. Przecież idzie, kurwa. Wejdzie do 7-Eleven i kupi jeszcze dwa sześciopaki. Albo trzy. Jasne, mogą być nawet trzy. Ma żołądek z żelaza i poza tym, że musi sikać co parę minut, piwo wcale mu nie szkodzi.

Potknął się w drzwiach i upadł na kolana – cholera, za taki wysoki próg powinno się ich zaskarżyć! – ale zaraz się podniósł. Wyjął z lodówki trzy sześciopaki i slaniając się na nogach, podszedł do kasy. Rzucił na ladę dwudziestodolarowy banknot.

Sprzedawca spojrział na pieniądze i pokręcił głową.

– Nie mogę pana obsłużyć.

– Jak to?

– Nie mogę sprzedawać piwa nietrzeźwym klientom.

– Twierdzi pan, że jestem pijany?

– Właśnie.

– Płacę, prawda? Nie chce pan moich pieprzonych pieniędzy?

– Nie chcę odpowiadać przed sądem. Odstaw to piwo z powrotem, synu, dobrze? Najlepiej kup sobie kawę albo coś innego. Może hot doga.

– Nie potrzebuję żadnego pieprzonego hot doga.

– Więc po prostu stąd wyjdź, chłopcze. I to zaraz.

Vince zepchnął jeden z sześciopaków z lady. Puszki z łaskotem upadły na podłogę. Miał zamiar strącić także drugi, ale sprzedawca wyciągnął broń.

– Wynoś się, do cholery – powiedział.

– W porządku – wymamrotał Vince i cofnął się, podnosząc rękę.

Wychodząc, znowu potknął się na progu.

– Nic nie kupiłeś? – spytał Chuck, gdy kumpel wgramolił się do wozu.

- Skończyło im się piwo.
- Niemożliwe.
- Mówię przecież, że się skończyło – warknął Vince.

Uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu. Ruszyli ostro z parkingu.

– Dokąd teraz jedziemy? – spytał Chuck.  
– Znajdziemy inny sklep. – Vince wpatrywał się w mrok, mrużąc oczy. – Gdzie jest wjazd na autostradę? Musi tu gdzieś być.

– Człowieku, daj spokój. Jeśli wlejesz w siebie jeszcze jedno piwo, porzygasz się.

– Gdzie ten pieprzony wjazd?

– Chyba go minąłeś.

– Nie, jest tutaj – odparł Vince i z piskiem opon skręcił w lewo.

– Hej! – powiedział Chuck. – Chyba...

– Zostało mi jeszcze dwadzieścia doliców. Ktoś je przecież weźmie.

– Vince, jedziesz w złym kierunku!

– Co?

– Jedziesz pod prąd! – krzyknął Chuck.

Vince potrząsnął głową i próbował skoncentrować się na drodze, ale światła reflektorów były zbyt jasne i raziły go w oczy. Świeciły coraz mocniej.

– Skręć w prawo! – wrzasnął Chuck. – To samochód! Skręcaj!

Vince skręcił w prawo.

Światła reflektorów również.

Usłyszał przeraźliwy krzyk. Nie był to jednak krzyk Chucka, lecz jego własny.

□ □ □

Doktor Abby DiMatteo była zmęczona jak jeszcze nigdy w życiu. Nie spała od dwudziestu dziewięciu godzin, jeśli nie

liczyć dziesięciominutowej drzemki w poczekalni rentgena, i wiedziała, że to po niej widać. Kiedy myjąc ręce w umywalce na oddziale intensywnej terapii, zerknęła w lustro, zobaczyła swoje podkrążone oczy i czarne potargane włosy z oklapniętą grzywką. Była już dziesiąta rano, a ona nie wzięła jeszcze prysznic ani nawet nie umyła zębów. Na śniadanie zjadła jajko na twardo i wypła posłodzoną kawę, którą godzinę temu przyniosła jej pielęgniarka z chirurgii. Będzie miała szczęście, jeśli znajdzie czas na lunch. I jeszcze większe szczęście, gdy uda jej się wyjść ze szpitala o piątą i dotrzeć na szóstą do domu. Teraz jednak marzyła tylko o tym, by choć na chwilę opaść na krzesło.

Ale podczas porannego poniedziałkowego obchodu nikomu to się nie mogło udać. Zwłaszcza gdy brał w nim udział doktor Colin Wettig, szef stażystów na oddziale chirurgii w szpitalu Bayside. Doktor Wettig, emerytowany generał, znany był z podchwytliwych, bezlitosnych pytań i Abby potwornie się go bała. Podobnie jak inni stażyści.

Jedenaścioro z nich stało teraz półkolem na oddziale intensywnej terapii, w białych fartuchach i zielonych operacyjnych uniformach. Wszyscy wpatrywali się w Wettiga. Wiedzieli, że w każdej chwili może ich zaskoczyć jakimś pytaniem. Kto nie potrafił na nie odpowiedzieć, poddawany był upokarzającemu długotrwałemu egzaminowi.

Odwiedzili już czterech pacjentów, którzy niedawno przeszli operacje, i teraz zebrali się przy łóżku numer jedenaście. Była to nowa pacjentka Abby. Przypadek, który musiała przedstawić generałowi.

Miała ze sobą notatki, ale do nich nie zaglądała. Patrząc na poważną twarz doktora Wettiga, zaczęła mówić:

– Pacjentka jest trzydziestoczteroletnią białą kobietą. Została przyjęta o pierwszej w nocy. Jej samochód zderzył się czołowo przy dużej prędkości z innym pojazdem na autostradzie numer dziewięćdziesiąt. Na miejscu wypadku pacjentkę zaintubowano



i w stanie stabilnym dostarczono do nas śmigłowcem. Po przyjęciu jej na ostry dyżur stwierdzono rozległe urazy. Liczne wgniecenia czaszki, złamanie lewego obojczyka i ramienia oraz poważne rany twarzy. Wstępne badanie wykazało, że jest dobrze odżywną kobietą średniej budowy. Nie reaguje na żadne bodźce, jeśli nie liczyć wątpliwej reakcji mięśni prostujących...

– Wątpliwej? – powtórzył doktor Wettig. – Co pani przez to rozumie? Czy mięśnie reagowały, czy nie?

Abby czuła, jak wali jej serce. Cholera, już się do niej przyczepił. Przełknęła ślinę i wyjaśniła:

– Czasem kończyny pacjentki prostowały się pod wpływem bodźca bólowego, a czasem nie.

– Jak pani myśli, ile to będzie w skali Glasgow, określającej odruchy pacjentów w stanie śpiączki?

– Cóż, ponieważ brak reakcji to jeden punkt, a wyprost mięśni dwa, sądzę, że tej pacjentce można dać... półtora.

Kilku stażystów zaśmiało się niepewnie.

– Nie ma takiej punktacji – oświadczył doktor Wettig.

– Wiem o tym – odparła Abby. – Ale reakcje tej pacjentki nie odpowiadają...

– Proszę kontynuować raport – przerwał jej Wettig.

Abby spojrzała na wpatrzone w nią twarze. Czyżby zdążyła już spieprzyć sprawę? Nie była tego pewna. Zaczerpnęła powietrza i podjęła:

– Pacjentka miała ciśnienie dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt i tętno sto. Nie oddychała samodzielnie, podłączono ją do respiratora. Dwadzieścia pięć oddechów na minutę.

– Dlaczego wybrano taką częstotliwość?

– Żeby zapewnić hiperwentylację płuc.

– W jakim celu?

– Aby obniżyć poziom dwutlenku węgla we krwi. To zmniejsza obrzęk mózgu.

– Proszę mówić dalej.

– Badanie głowy, jak wspomniałam, wykazało rozległe wgniecenia czaszki po lewej stronie, w okolicach kości ciemieniowej i skroniowej. Silne obrzmienia i rany twarzy utrudniały diagnozowanie złamań. Źrenice były w pozycji centralnej i nie reagowały na bodźce. Nos i gardło...

– Odruchy oczno-mózgowe?

– Nie badałam ich.

– Nie?

– Nie, panie doktorze. Nie chciałam poruszać szyi. Obawiałam się uszkodzenia kręgosłupa.

Wettig lekko kiwnął głową, akceptując jej odpowiedź.

Opisała następnie stan narządów pacjentki. Zdrowe płuca i serce, żołądek również w porządku. Doktor Wettig nie przerywał jej. Gdy skończyła omawiać wyniki badań neurologicznych, czuła się znacznie pewniej – niemal triumfowała. A dlaczego nie? Przecież dobrze wiedziała, co robi.

– Co pani podejrzewała przed obejrzeniem zdjęć rentgenowskich? – spytał.

– Zważywszy na pozycję źrenic i brak ich reakcji na bodźce – powiedziała Abby – przypuszczałam, że doszło do ucisku mózgu. Najprawdopodobniej z powodu silnego krwawienia podtwardówkowego lub nadtwardówkowego. – Przerwała na chwilę, po czym dodała ze spokojną pewnością siebie: – Tomografia to potwierdziła. Duży podoponowy krwiak po lewej stronie. Konieczny był zabieg neurochirurgiczny. Dokonano operacyjnego usunięcia skrzepu.

– Zatem pani wstępne przypuszczenia okazały się słuszne?

Kiwnęła głową.

– Zobaczmy, jak mają się sprawy dzisiaj – mruknął doktor Wettig, podszedł do łóżka pacjentki i poświecił jej miniaturową latarką w oczy. – Źrenice nie reagują – stwierdził. Mocno przycisnął knykię do mostka pacjentki. – Nie ma reakcji na ból. Ani ze strony mięśni prostujących, ani żadnych innych.

Stażyści przysunęli się bliżej, ale Abby pozostała w nogach łóżka i wpatrywała się w obandażowaną głowę kobiety. Gdy Wettig kontynuował badanie, opukując jej ścięgna gumowym młoteczką, zginając łokcie i kolana, Abby przyglądała się ogolonej głowie pacjentki. Pamiętała, że kobieta miała gęste ciemne włosy, pokryte zakrzepłą krwią i odłamkami szkła. Szkło powbijało się również w jej ubranie. Abby pomagała rozcinać jej jedwabną, niebiesko-białą bluzkę z metką Donny Karan. Ten szczegół najbardziej utkwił jej w pamięci. Nie krew, złamane kości czy poraniona twarz, tylko ta metka. Donna Karan. Marka, którą sama chętnie kupowała. Ta kobieta też kiedyś stała w jakimś sklepie, oglądając bluzki, słysząc skrzypienie przesuwanych po przęcie wieszaków...

Doktor Wettig wyprostował się i spojrzał na pielęgniarkę z oddziału intensywnej terapii.

- Kiedy usunięto krwiak? – zapytał.
- Wróciła z sali pooperacyjnej około czwartej nad ranem.
- Sześć godzin temu?
- Tak, mniej więcej.

Wettig zwrócił się do Abby:

- Więc dlaczego nic się nie zmieniło?

Ocknęła się z zamyślenia i zobaczyła, że wszyscy jej się przyglądają. Spojrzała na pacjentkę. Widziała, jak jej klatka piersiowa na przemian unosi się i opada, poruszana aparaturą.

– Mógł wystąpić obrzęk pooperacyjny – odparła, patrząc na monitor. – Ciśnienie wewnątrzczaszkowe jest nieco podwyższone. Dwadzieścia milimetrów.

– Sądzi pani, że jest dość wysokie, by powodować brak reakcji źrenic?

- Nie, ale...
- Badała ją pani zaraz po operacji?

– Nie, panie doktorze. Przewieziono ją na oddział neurochirurgii. Rozmawiałam po operacji z ich stażystą i

powiedział mi...

– Nie pytam o jego opinię, ale o pani, doktor DiMatteo. Stwierdziła pani krwotok podoponowy. Został zlikwidowany. Więc dlaczego sześć godzin po operacji źrenice pacjentki nadal są w centralnej pozycji, a jej mięśnie nie reagują na bodźce?

Abby zawahała się. Generał uważnie się jej przyglądał. Wszyscy inni także. Upokarzającą ciszę zakłócał tylko szum respiratora.

Doktor Wettig powiódł wzrokiem po otaczających go stażystach.

– Czy ktoś pomoże doktor DiMatteo odpowiedzieć na to pytanie?

Abby wyprostowała się.

– Sama mogę na nie odpowiedzieć – oświadczyła.

Odwrócił się do niej, unosząc brew.

– Wobec tego słucham.

– Brak reakcji źrenic i prostowników kończyn to oznaki dysfunkcji śródmózgowia. W nocy zakładałam, że powodem tego jest ucisk krwaka podoponowego. Ale skoro stan pacjentki się nie poprawił, oznacza to chyba, że się pomyliłam.

– Chyba?

Westchnęła.

– Pomyliłam się.

– Jaka jest teraz pani diagnoza?

– Krwawienie śródmózgowe, spowodowane wypadkiem albo uszkodzeniami pozostałymi po krwaku. Tomografia mogła nie wykazać tych zmian.

Doktor Wettig przyglądał się jej przez chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem zwrócił się do pozostałych stażystów:

– Krwawienie śródmózgowe to rozsądne założenie. Przy łącznej liczbie trzech punktów... i pół – dodał, patrząc na Abby – w skali Glasgow prognozy są zerowe. Pacjentka nie oddycha

samodzielnie, nie porusza się, jej mózg nie reaguje na bodźce. W tej chwili pozostaje nam tylko sztuczne utrzymywanie jej przy życiu. I rozważenie możliwości pobrania organów do przeszczepu.

Skinął lekko głową i przeszedł do następnego pacjenta.

Jeden ze stażystów ścisnął ramię Abby.

– Hej, DiMatteo! – szepnął. – Gratuluję!

– Dzięki – odparła ze znużeniem Abby.

□ □ □

Doktor Vivian Chao, ordynator oddziału chirurgicznego, była legendą wśród lekarzy w szpitalu Bayside. Dwa dni po rozpoczęciu przez Vivian stażu, pracująca razem z nią koleżanka przeżyła złamanie nerwowe i została przewieziona na psychiatrię, więc Vivian sama musiała się wszystkim zająć. Była jedynym ortopedą dyżurującym w szpitalu przez całą dobę. Przeniosła swoje rzeczy do dyżurki i szybko straciła dwa i pół kilograma, żywiąc się w kafejce. Przez dwadzieścia dziewięć dni nie opuszczała szpitala. Gdy trzydziestego dnia wyszła na parking, zamierzając wreszcie wrócić do domu, stwierdziła, że nie ma tam jej samochodu. Odholowano go tydzień wcześniej, uznając, że został porzucony.

Po czterech dniach jej kolejnej praktyki, na chirurgii naczyniowej, koleżankę, z którą odbywała staż, potrącił miejski autobus i trafiła do szpitala z pękniętą miednicą. Znowu ktoś musiał się wszystkim zająć.

Vivian Chao z powrotem przeniosła się do szpitalnej dyżurki.

W ten sposób uzyskała w społeczności lekarskiej honorowy status mężczyzny, który potwierdzono oficjalnie, wręczając jej podczas uroczystości przyznawania dorocznych nagród dwie stalowe kulki w eleganckim pudełeczku.

Gdy Abby po raz pierwszy usłyszała o Vivian Chao, trudno jej było uwierzyć, że ta niepozorna, drobna Chinka, która podczas

operacji musiała korzystać z podnóżka, cieszy się taką reputacją. Podczas obchodów rzadko się odzywała, ale jej opinie i diagnozy zawsze były trafne.

Tego popołudnia na oddziale intensywnej terapii podeszła do potwornie zmęczonej Abby, która nawet nie zauważyła, że stoi obok niej, dopóki Chinka się nie odezwała.

– Podobno przyjęła pani pacjentkę z urazem głowy, z grupą krwi AB plus?

Abby podniosła wzrok znad karty, na której robiła notatki.

– Tak. W nocy.

– Czy ona nadal żyje?

Abby spojrzała w stronę sali, w której stało łóżko numer jedenaście.

– Zależy, co pani przez to rozumie.

– Serce i płuca są w dobrym stanie?

– Wciąż funkcjonują.

– Ile ta pacjentka ma lat?

– Trzydzieści cztery. Dlaczego pani pyta?

– Mam pod opieką pacjenta z niewydolnością krążenia. Grupa krwi AB plus. Czeka na nowe serce – wyjaśniła Vivian i podeszła do stojaka z kartami pacjentów. – Który numer łóżka?

– Jedenaście.

Chinka wyjęła dokumentację choroby i zaczęła ją przeglądać. Gdy to robiła, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Ta kobieta nie jest już moją pacjentką – powiedziała Abby. – Przeniosłam ją na neurochirurgię. Usunęli jej krwiak podoponowy.

Vivian dalej czytała kartę.

– Upłynęło dopiero dziesięć godzin od operacji – zauważyła Abby. – Chyba trochę za wcześnie mówić o pobieraniu organów.

– Jak widzę, nie ma na razie zmian neurologicznych.

– Nie. Ale istnieje szansa...

– Przy trzech punktach skali Glasgow? Nie sądzę. – Vivian

wsunęła kartę z powrotem do przegródki i podeszła do łóżka numer jedenaście.

Abby podążyła za nią.

Stanąwszy w drzwiach sali, przyglądała się, jak Vivian szybko i zręcznie bada pacjentkę. W ten sam sposób działała na sali operacyjnej, nie tracąc czasu ani energii na żaden zbędny ruch. W ciągu pierwszego roku pracy Abby często obserwowała tę kobietę podczas zabiegów i podziwiała jej drobne, zwinne dłonie i delikatne palce, bezbłędnie wiążące węzły chirurgiczne. Czowała się przy niej okropnie niezdarna i ćwiczyła całymi godzinami, ucząc się wiązać węzły na uchwytach szuflad. W końcu opanowała to całkiem nieźle, ale wiedziała, że nigdy nie dorówna Vivian Chao.

A teraz, gdy obserwowała ją podczas badania Karen Terrio, sprawność tych dłoni przyprawiała ją o dreszcz.

– Brak reakcji na bodźce bólowe – stwierdziła Vivian.

– Jeszcze za wcześnie.

– Możliwe. A może nie. – Vivian wyjęła z kieszeni gumowy młoteczek i zaczęła uderzać nim w ścięgna leżącej na łóżku kobiety. – Chyba dobrze się składa...

– Jak pani może tak mówić?

– Mój pacjent ma krew grupy AB plus i od roku czeka na przeszczep serca. Myślę, że serce tej kobiety będzie idealnie pasowało.

Abby spojrzała na Karen Terrio i ponownie przypomniała sobie jej niebiesko-białą bluzkę. Zastanawiała się, o czym myślała ta kobieta, wkładając ją po raz ostatni. Prawdopodobnie o zwykłych codziennych sprawach. Z pewnością nie o śmierci. Nie o szpitalnym łóżku, kroplówce i aparaturze pompującej powietrze do jej płuc.

– Chciałabym wykonać próbę krzyżową. Upewnić się, czy są zgodne – oznajmiła Vivian. – Moglibyśmy też zacząć robić testy zgodności tkankowej. EEG już zrobiono, prawda?

– Ona nie jest pod moją opieką – powtórzyła Abby. – Zresztą uważam, że to przedwczesne działania. Nikt nie rozmawiał o tym jeszcze z jej mężem.

– Ktoś będzie musiał.

– Ma dzieci. Rodzina potrzebuje czasu, żeby się z tym oswoić.

– Narządy nie mogą czekać zbyt długo.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że trzeba to zrobić. Ale, jak powiedziałam, minęło dopiero dziesięć godzin od operacji.

Vivian podeszła do umywalki i umyła ręce.

– Nie spodziewa się pani cudu, prawda?

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii.

– Przyszedł jej mąż z dziećmi. Chcą ją zobaczyć. Długo jeszcze tu panie będziecie?

– Ja już skończyłam – odparła Vivian, rzuciła do kosza zgnieciony papierowy ręcznik i wyszła.

– Mogę ich wpuścić? – spytała pielęgniarka.

Abby spojrzała na Karen Terrio i z bolesną wyrazistością uświadomiła sobie, co zobaczy dziecko, patrząc na to łóżko.

– Proszę zaczekać – powiedziała. – Jeszcze chwilę.

Podeszła do łóżka i szybko wygładziła pościel. Zamoczywszy w umywalce papierowy ręcznik, starła kobiecie z policzka zaschniętą ślinę. Położyła worek na mocz z boku łóżka, gdzie nie był tak widoczny. Potem, cofnąwszy się o krok, spojrzała raz jeszcze na pacjentkę i pomyślała, że bez względu na to, co by zrobiła, nie ulży tym dzieciom w cierpieniu.

Westchnęła i kiwnęła głową.

– Teraz mogą wejść.

□ □ □

O wpół do piątej po południu z trudem koncentrowała się na pisaniu i ledwo widziała na oczy. Pracowała już trzydzieści trzy



i pół godziny. Skończyła popołudniowy obchód. Wreszcie mogła wrócić do domu.

Ale gdy zamknęła ostatnią kartę, znów pomyślała o kobiecie z łóżka numer jedenaście. Weszła do sali. Stała w nogach łóżka i wpatrując się w Karen Terrio, zastanawiała się, co jeszcze można by zrobić.

Nie słyszała kroków za swoimi plecami.

Dopiero gdy usłyszała: „Cześć, ślicznotko!”, odwróciła się i zobaczyła ciemne włosy i niebieskie oczy doktora Marka Hodella, który się do niej szeroko uśmiechał. Był to uśmiech przeznaczony specjalnie dla Abby, uśmiech, którego bardzo jej tego dnia brakowało. Zwykle jedli razem szybki lunch albo przynajmniej mijali się na korytarzu, ale dzisiaj w ogóle się nie spotkali i teraz bardzo się ucieszyła na jego widok. Mark pochylił się, by ją pocałować, a potem cofnął się i spojrzał na jej rozczochrane włosy i wymięty kitel.

– Musiałaś mieć ciężką noc – mruknął współczująco. – Ile spałaś?

– Nie wiem. Może pół godziny.

– Chodzą plotki, że rano wygrałaś bitwę z generałem.

Wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy, że nie wytarł mną podłogi.

– To z pewnością można uznać za sukces.

Uśmiechnęła się. A potem znowu spojrzała na łóżko numer jedenaście i jej uśmiech przygasł. Karen Terrio niemal zupełnie ginęła wśród aparatury. Respirator, pompy infuzyjne, dreny, monitory EKG, ciśnienia krwi i ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Wszystkie funkcje organizmu były poddane kontroli. Po co badać ręką puls albo kłaść dłonie na piersi pacjenta? Po co w ogóle są lekarze, skoro całą pracę może za nich wykonać aparatura?

– Przyjęłam ją w nocy – powiedziała. – Mężatka, trzydzieści cztery lata. Ma dwie córki. Bliźniaczki. Były tutaj przed chwilą. To dziwne, ale nie chciały jej dotknąć. Stały i patrzyły. Tylko na

nią patrzyły. Myślałam: musicie ją dotknąć, bo to być może wasza ostatnia szansa. Ostatnia na zawsze. Nie zrobiły tego jednak. I pewnie kiedyś będą żałowały... – Pokręciła głową i pospiesznie przetarła dłonią oczy. – Podobno facet, który się z nią zderzył, był pijany i jechał pod prąd. Wiesz, co mnie najbardziej wkurza, Mark? To, że on będzie żył. Siedzi teraz na górze na ortopedii i skamle z powodu kilku połamanych kości. – Znów głęboko wciągnęła powietrze i ciężko westchnęła, jakby w ten sposób chciała wyrzucić z siebie całą złość. – Chryste, przecież ja mam ratować ludziom życie, a tymczasem chciałabym, żeby z tego faceta została tylko mokra plama na autostradzie. – Odwróciła się od łóżka. – Chyba już pora iść do domu.

Mark przesunął dłonią po jej plecach. Był to zarazem gest pocieszenia i dominacji.

– Chodź – powiedział. – Odprowadzę cię.

Weszli do windy. Gdy drzwi kabiny się zasunęły, Abby przytuliła się do niego. Otoczył ją ramionami. Tak dobrze знаła ten ciepły uścisk. Poczuli się bezpiecznie.

Rok wcześniej Mark Hodell bynajmniej nie działał na nią uspokajająco. Była początkującą stażystką, a on specjalistą w dziedzinie chirurgii klatki piersiowej, głównym chirurgiem w zespole wykonującym przeszczepy serca. Spotkali się na sali operacyjnej. Leżący na stole pacjent, dziesięcioletni chłopiec, został przywieziony do szpitala ze strzałą w klatkę piersiową. Efekt sprzeczki między braćmi i niewłaściwego doboru prezentów urodzinowych. Gdy Abby weszła na salę, Mark już tam był, przebrany do operacji. Był to pierwszy tydzień jej stażu. Czuli zdenerwowanie i lęk na samą myśl, że ma asystować znakomitemu doktorowi Hodellowi. Podeszła do stołu operacyjnego i nieśmiało spojrzała na stojącego po drugiej stronie mężczyznę. Zobaczyła nad maską szerokie, inteligentne czoło i piękne błękitne oczy. Bardzo szczerze i przenikliwe.

Wykonali razem operację. Chłopiec przeżył.

Miesiąc później Mark zaprosił Abby na randkę, ale mu odmówiła. Nie dlatego, że nie chciała się z nim umawiać. Po prostu sądziła, że nie powinna.

Po miesiącu zaprosił ją ponownie. Tym razem się zgodziła.

Pięć i pół miesiąca później przeprowadziła się do mieszkania Marka w Cambridge. Na początku nie było łatwo. Musiała nauczyć się żyć z czterdziestojednoletnim kawalerem, który nigdy przedtem nie dzielił życia – ani domu – z żadną kobietą. Jednak teraz, czując, jak Mark ją obejmuje, nie wyobrażała sobie, by mogła mieszkać z jakimkolwiek innym mężczyzną, kochać kogoś innego.

– Biedactwo – mruknął, muskając ciepłym oddechem jej włosy. – Życie jest brutalne, prawda?

– Chyba nie nadaję się do tego. Co ja tu robię, do cholery?

– To, o czym zawsze marzyłaś. Tak mi mówiłaś.

– Nie pamiętam już nawet, jak wyglądało to marzenie. Tracę je z oczu.

– Chyba chodziło o ratowanie ludziom życia?

– Właśnie. A tymczasem żałuję, że pijany kierowca samochodu nie zginął – mruknęła i pokręciła głową, czując odrazę do samej siebie.

– Abby, przeżywasz teraz najtrudniejsze chwile. Pozostały ci jeszcze tylko dwa dni na urazówce. Musisz wytrzymać.

– Jasne. A potem trafię na chirurgię klatki piersiowej i...

– To już pestka. Urazówka zawsze była najgorsza. Przetrzyмай jak wszyscy.

Przylgnęła do niego mocniej.

– Czy gdybym przeniosła się na psychiatrię, straciłbyś dla mnie cały szacunek?

– Bez wątpienia.

– Ależ z ciebie drań.

Śmiejąc się, pocałował ją w czubek głowy.

– Wielu ludzi tak myśli, ale tylko tobie wolno to głośno

mówić.

Zjechali windą na parter i wyszli ze szpitala. Był już koniec września, mimo to Boston od sześciu dni dręczyła fala upałów. Gdy szli przez parking, Abby czuła, jak opuszczają ją resztki sił. Kiedy dotarli do jej samochodu, nie była już niemal w stanie poruszać nogami. Oto, do czego nas doprowadza to wszystko, przez co musimy przejść, żeby zostać chirurgami, pomyślała. Praca od świtu do nocy, psychiczne i emocjonalne wypalenie, wielogodzinny wysiłek. Ale wiedziała, że ten proces jest konieczny. Mark go przetrwał, więc i ona da radę.

Jeszcze raz uścisnął ją i pocałował.

– Na pewno czujesz się na siłach prowadzić samochód? – spytał.

– Włączę automatycznego pilota.

– Będę w domu za godzinę. Mam przywieźć pizzę?

Ziewając, wsunęła się za kierownicę.

– Dla mnie nie.

– Nie chcesz jeść kolacji?

Uruchomiła silnik.

– Marzę tylko o łóżku – odparła z westchnieniem.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).